

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

22

— Milcz, nędzniku! — zawołał książę wybuchając gniewem. — Czy byłbym sobie chciał zadać trud zagrania z wami dziś rano komedyi? — dodał pogardliwie. — Ty śmiesz mnie oskarżać, szaleńcze, w chwili kiedy was ratować pragnę!

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady paczkę banknotów.

— Oto — rzekł wskazując na pieniądze — depesza jeszcze nie została przezemnie otworzona, rozumiecie?

Wziął papier, złożył i przykleił.

— I nie będę jej czytał; musiała gdzieś zagnąć... Teraz wyjdę! A wiercie mi, wy, którzy ośmieliliście posadzić waszego księcia, że oddałbym wiele, by dziś właśnie nie potrzebować wydalac się z domu!... Kiedy wrócę, was tu już nie będzie!... Nikt się nie zadziwi, jeżeli i wy po otrzymaniu ostrzeżenia usłyszcie z pałacu, nie dokonawszy zamachu. Słowa depeszy były dość jasne. Bracia wasi w Londynie mogli je przejąć. Władze wiedzą, że komunikujecie się z nimi. Zostaliście zdemaskowani! pozostała wam tylko ucieczka!... Sandra doskonale włada językiem francuskim. Uciekajcie, gdzie chcecie! Granica belgijska jest blisko, lecz za blisko Anglii. Sądzę, że bezpieczniej dla was byłoby udać się przez Szwajcaryę do Włoch... A stamtąd przez Macedonię, Turcję, do Azji, gdzie już nie potrzebujecie się obawiać detektywów angielskich! Chcąc przekonać was, że obowiązkiem waszym jest mi wierzyć, nie zażadam sam, abyście mi wskazali miejsce waszego pobytu. Uczynicie to sami, dobrowolnie! A teraz idźcie! Zostańcie, jeśli chcecie między ludnością chińską, albo posuńcie się do Tybetu, który jest krajem dosyć niedostępnym dla Anglików. Zresztą, jeżeli powrócicie do Indyi, wiecie na co się narażacie, zważcie to! Czy i teraz wątpicie o księciu Kiwani? — kończył książę, patrząc dumnie na fakirow, których twarze rozjaśniały się w miarę słów księcia. W milczeniu padli do nóg władcy i ucałowali je ze czcią.

Chwilowy tryumf zła.

Była już dość późna godzina, gdy człowiek, który był równocześnie Piotrem Sebonnier, Janem le Kerlackem i który tak uderzająco przypominał malarza Morel, ukazał się w towarzystwie profesora Dubreuil na progu domu zamieszkałego przez lorda Cateley.

Od dwóch godzin, Gewolski ukryty w parku na polu Marsowem, śledził niecierpliwie ten dom, utkwivszy oczy w oknach pierwszego piętra. Wiedział, że poszukiwany przez niego Moreau tam się znajduje: dwukrotnie bowiem dojrzał jego sylwetkę na balkonie. Raz był w towarzystwie profesora Dubreuil, drugi raz zaś był z nim Bamboul, z którym długą chwilę rozmawiał.

Gewolski przejęty był śmiertelnym niepokojem. Co zamyślał uczynić dawni jego współnik? I wogóle co teraz o nim wiedział? Co odkrył?

Piotr Moreau stanął na progu domu i chwilę z niepokojem na twarzy patrzył przed siebie. Automobil profesora Dubreuil stał na środku ulicy. Ujrawszy profesora, szofer podjechał pod trotuar i pochylił się czekając rozkazów. Dubreuil ruchem ręki wskazał mu drogę prowadzącą ku Sekwanie, sam zaś, ujawszy Piotra Moreau pod rękę, pociągnął go do parku, w stronę, w której znajduje się wieża Eifel.

Widząc to Gewolski, wybiegł z alei, okrążył park szybko w górnej części i ostrożnie ukrył się w gęstwinie na ścieżce, po której według jego obliczenia obydwa doktorzy przejść musieli. Ukryty w gąszczu Gewolski słyszał odgłos kroków nadchodzących. Szczęście mu sprzyjało. Dubreuil i Moreau, rozejrzawszy się w koło, przystanęli. Sądzieli, że znajdują się w bezpiecznym miejscu.

— Możemy mówić spokojnie — odezwał się profesor. — Jestem zdumiony i wzruszony zachowaniem się waszem, kolego! Aby ocalić życie człowieka, nie wahałeś się przed niebezpieczeństwem, jakie pociągało za sobą twoje nagłe zdemaskowanie! Mówiąc otwarcie, sam oddałeś się w ręce sprawiedliwości. Czyn ten dla ciebie będzie okolicznością łagodzącą. Jestem gotów sam stanąć w pana obronie! Ale przedtem muszę usłyszeć od pana wszystko!

— Czy pan sobie nie przypomina nic? Czy na-

zwisko Piotra Moreau nie obudziło w umyśle pana żadnych wspomnień?

— Jakto? — zawołał profesor Dubreuil. — Więc pan byłbyś tym!... Tam na górze, w obecności chorego, nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z szalonego wystąpienia pańskiego! Ale teraz pamięć moja się rozjaśnia! Tak! tak! wiem już teraz! To była przykra bardzo historia!... Śmierć cudzoziemki? nieprawdaż?

— Tak jest, profesorze. Była to pierwsza żona księcia Kiwani, tego samego, z którym w laboratorium Gewolskiego robiliście doświadczenie, mające przedłużyć życie.

— Ale... pan miałeś współnika? Tak zeznałeś wówczas... Czekaj pan! czekaj! przypomnę sobie... nazywał się...

— Nie szukaj, profesorze! Nazwisko tego człowieka nie zostało nigdy wymówione!...

— Tak!... tak! Teraz, przypominam sobie wszystko! Pan go ocaliłeś! Widocznie cierpisz na manię ocalania! i ta mania zaprowadziła pana na salę sądową!

— Ale on również mnie ocalił!... dopomógł do ucieczki z więzienia...

Na chwilę w Gewolskim serce zamiało! lecz wkrótce opanowała go beczelna pewność siebie!... Moreau nie zdradził jego nazwiska!... umiał być ostrożnym! Wobec tego porozumienie się z nim nie było trudne!...

— Zaręczam panu, panie profesorze, że byłem zupełnie niewinny — mówił dalej Piotr Moreau. — Zawezwano mnie do oddania ostatnich posług umierającej już kobiecie... A gdyby umiano szczęśliwie utrzymać ją przy życiu, wina mojego towarzysza nie byłaby tak poważną, skoro dziecko żyje!... Ale ktoś za tę śmierć musiał odpowiedzieć i los padł na mnie!...

— A jeżeli pan był rzeczywiście niewinnym... dlaczego nie zażądałeś wznowienia procesu? rehabilitacji własnej?... Ah! tak, tam! do tego potrzeba było świadectwa kolegi pańskiego... a pan musieliście być do niego bardzo przywiązani!...

— Jak pan to dobrze zrozumiał, profesorze! Z mojej strony był to moralny przymus, dług wdzięczności. Winiemem był za wiele temu człowiekowi. Byłem jego własnością... Więc po co było narażać go. Towarzysz mój odplacił mi się, według możliwości, dostarczając mi potrzebnych funduszy do ucieczki, a nawet tam, na obczyźnie, chciał się całkowicie zająć moim losem, ale już wtedy nie mogliśmy dojść do porozumienia i rozeszliśmy się, każdy w inną stronę!

— Naprawdę, zdaje mi się, mój przyjacielu, pytać będę, kto to był?

— Cóż zyskam dziś, zdradzając go?

— Ale dlaczego więc narażałeś się w ten sposób? Dlaczego nie zwróciłeś się pan do nas, lub do Gewolskiego? Działaleś w tak szlachetnej idei, że żaden z nas nie ośmieliłby się pana wydać!

— Kochany panie profesorze! Człowiek nie zawsze może być panem wydarzeń!... Tu należało działać szybko! A przytem zbudziłem natychmiastowe zaufanie lorda Cateley... opowiedziałem mu coś z mojej historii i idąc dobrowolnie naprzeciw niebezpieczeństwu, liczyłem trochę na zyczliwość i obronę jego. A czy teraz nie znalazłem drugiego obrońcy w panu?

Doktor Dubreuil wyciągnął rękę do Piotra Moreau i uściśnął ją serdecznie.

— Myślałem, że jestem silniejszy — rzekł Piotr Moreau głosem stłumionym przed wzruszeniem. — Oto roztkliwiam się, jak zdenerwowana kobieta! Ale myśl, że ludzie mogą uważać mnie za nędznika, jest nie do zniesienia. Dobroć pana poruszyła mnie głęboko. Wdzięczny jestem bardzo panu za okazane mi współczucie.

— Teraz powiedz mi pan, jakie są obecne przekroczenia pańskie wobec władz.

— Bardzo zwyczajne: uciekłem po dwuletniem więzieniu, a miałem jeszcze odbyć ośm lat!

— To nie wesołe!

— Jeżeli mnie pochwyć, zapłacę za tę ucieczkę resztą życia! Teraz więc, kiedy tu nie jestem potrzebny, najlepiej będzie zniknąć i to jaknajprędzej! Nie skradłem wieży Eifel, to prawda — dodał Moreau, siląc się na humor — ale jednak czuję potrzebę odgraniczenia się od terytorium francuskiego. Nie sądzą, aby policja poszukiwała mnie bezwzględnie... ale jutro rozbiegnie się wiadomość o wyzdrowieniu lorda Cateley i narobi dosyć hałasu!

— Byłoby ukoronowaniem wszystkiego, mój biedny przyjacielu, gdyby ci się za to uzdrowienie społeczeństwo odwdzięczyło więzieniem. Ale miejmy nadzieję, że kiedyś nazwisko twoje oczyszczone zostanie z tej plamy, a nawet zasłynie wielką sławą,

jeżeli sposób twój leczenia tej afrykańskiej choroby okaże się praktycznym.

— Oh! profesorze! Nie czyniłem tego w celu zdobycia sobie jakichś zasług! A teraz, muszę już pana pożegnać!

— Chcesz więc, kochany kolego, opuścić Paryż natychmiast? A gdzie pana znajdę, kiedy będę chciał przesłać jaką dobrą wiadomość? Bo chcę natychmiast zająć się tą sprawą!

— Niel! niel! — zawołał żywo Piotr Moreau. — Niech pan sam jej nie porusza! Życzylbym sobie najbardziej, aby zapomniano o mnie i pokryto to wszystko milczeniem! przynajmniej do pewnego czasu! Do widzenia, mój kochany profesorze. Niech pan nie wątpi o mojej wdzięczności i oddaniu!

Profesor Dubreuil pośpieszył do swojego automobilu, a Piotr Moreau, upewniwszy się, że znikąd nie grozi mu żadna nieprzyjemna niespodzianka, opuścił park wieży Eifel.

Gewolskiemu powrócił dobry humor. Piotr Moreau pozostał zawsze tem biernym, dobronudsznym stworzeniem, ulegającym tylko heroicznym porywom swojej spokojnej natury. Zachował dotąd dla dawnego towarzysza uczucie wdzięczności. Jakże łatwo opanuje go z tą samą siłą co niegdyś!

Jednakże Gewolski nie mógł zapomnieć spojrzenia, jakim Piotr Moreau go obrzucił w mieszkaniu lorda Cateley, kiedy wymieniał swoje prawdziwe nazwisko! W tem spojrzeniu ironicznym, a niepozabawionem dobronudszności, rozpoznawał Gewolski tamtego, biednego szaleńca Morela!

Tamten! ten krotchwilny pocziwiec, który wywołał tak żywą sympatię księcia Kiwani i jego córki! Zaczny ojciec rodziny, o szerokiej, uśmiechniętej twarzy, tak podobny do tego Moreau, który przed chwilą rozmawiał z profesorem Dubreuil! Ale ten Morel, malarz, dziś rano w pałacu księcia przedstawiał się znowu zmieniony do niepoznania. Był wychudły, blade i dziwnie wzruszony! Tak powinien wyglądać były więzień doktora Rastewicza! Dreszcz lodowaty wstrząsnął Gewolskim!... Czuł, że zagłębia się w jakąś straszną, niezbadaną tajemnicę! Jeżeli obydwa bracia odnaleźli się i teraz, zamiast jednego, miał dwóch wrogów! A tamten, ten szaleńiec, o ileż niebezpieczniejszy będzie od brata! A może Piotr Moreau odważył się zagrać podwójną rolę!? To „on“ może, a nie brat przedstawił się w pałacu księcia Kiwani, a prawdziwy malarz Morel dziś dopiero po raz pierwszy przestąpił jego progi! Po raz pierwszy od wyzdrowienia!

— Oh! to by było coś nowego — szepnął Gewolski.

Jeżeli przypuszczenie to było prawdą, jeżeli ten Moreau miał odwagę to uczynić, skąd pewność, że rzeczywiście opuści Paryż, tak jak to oznajmił, a nie ukryje się zrećźnie, by dalej prowadzić tą tajemną akcję, która rozwijała się koło niego od kilku tygodni? A on i książę tak pewni byli wygranej, tak spokojni i pewni siebie!

Rozmyślając w ten sposób Gewolski, korzystając z ciemności, dogonił prawie Piotra Moreau, w chwili, gdy ten zatrzymał przejeżdżający automobil. Moreau wsiadł wołając do szofera:

— Dworzec św. Łazarza! a spiesz się przyjacielu!

— Jedzie do Sannois! — pomyślał Gewolski. Odszukał automobil pozostawiony na bocznej ulicy i kazał się również wieść na dworzec. Przybył tam jeszcze przed Piotrem Moreau. Na dworcu zaniechał już śledzenia, tylko kazał sobie wskazać pociąg idący w stronę Argenteuil. Wkrótce znalazł się tam i Piotr Moreau, lecz jakże niepodobny do tego człowieka, upadającego pod siłą wielkiego wzruszenia w obecności profesora Dubreuil! Ten Moreau był wesoły i bardzo z siebie widocznie zadowolony! Gewolski już teraz nie miał żadnych wątpliwości!

Piotr Moreau, lekarz, jechał do brata swojego malarza.

— A tamten jest ojcem tej małej Lusi! — wyrzucił z siebie pogardliwie Gewolski. — I że też mój syn dał się tam wciągnąć!

Opuścił dworzec św. Łazarza i rozkazał szoferowi powrócić do domu. Tam, miał powiedzieć, że całą noc będzie zmuszony pozostać przy chorym. Już teraz Piotr Moreau nie wymknie mu się z ręki!

Na ulicy Rzymskiej zatrzymał automobil. Szofer zażądał pięćdziesięciu franków za dostawienie go do Argenteuil. Gewolski obiecał mu sto, jeżeli staną na miejscu bez wypadku. A wiedząc, o której godzinie pociąg zatrzymuje się w Sannois, sam poprowadził maszynę! Nie chciał bowiem pokazać się w okolicy, zanim Piotr Moreau stanie w domu brata. Lecz Gewolski w przypuszczeniach swoich trochę się przerachował.